

Czy to były rażące błędy? Moim zdaniem raczej wariant ryzyka wkalkulowany w zamierzoną strategię. Coś więcej niż tylko zwykła konieczność, „nos trenera” i suchy pomysł taktyczny. Przechytrzyć przeciwnika i zaskoczyć! – to był cel zasadniczy. Wartość Frankowskiego siedzącego na ławce rezerwowych rosła z każdą minutą meczu właśnie po przerwie, kiedy rywale już tak wściekle nie atakowali. Wtedy górę wzięły wyobrażenia trenera oraz spryt i inteligencja piłkarza! Tak, to było oczywiste ryzyko ze strony Janasa. Jest ono tylko częścią niewdzięcznej roli selektonera obdarzonego przez naturę antycypacją. Efekty pracy rozgrzeszają każdego trenera.

W obecnej kadrze praktycznie nie mamy zawodników klasy światowej, takich jakimi w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych byli: Lubiański, Deyna, Gadocha, Lato, Żmuda i Boniek, niewielu też rangi europejskiej. Tym większa zasługa Janasa, że choć ma uboższą kadrę, gromadzi mundialowe punkty i coraz wyraźniej prowadzi ją do kolejnych finałów mistrzostw świata. Udaną jesień reprezentacji w 2004 roku zrodziła przede wszystkim dobrze pojęta zbieżność interesów selektonera i zawodników. Mają przed sobą ten sam cel Weltmeisterschaft 2006.

Dokonali nasi piłkarze zwrotu we właściwym kierunku. Łączy ich rozumna strategia i taktyka, dostosowana do faktycznych umiejętności odpowiedzialnych wykonawców. Dalekie to wszystko od utopijnych wizji diamentów, brylantów i tym podobnych bzdur quasi-szkoleniowych. W Wiedniu i Cardiff oglądaliśmy widowiska fascynujące w odbiorze, czytelne, a ich końcowy efekt bardzo korzystny dla dalszych losów eliminacji. Nawet „futbolowa opozycja” przyjęła to z zadowoleniem. To też zwrot we właściwym kierunku. Żaden selektoner „nie ma klawego życia”. Każda jego decyzja, dobra lub zła, rodzi wyjątkowo duże emocje. Sukces jest w stanie wynieść go do rangi bohatera narodowego, porażka – zrodzić tłumy niezadowolonych. Przeżyli ten wymiar wzruszeń wszy-

scy poprzednicy Janasa. Po wygranych w Belfaście, Wiedniu i Cardiff okrzyczano go „szczęściarzem” i... liczono, że wreszcie w meczu z Francją w Paryżu powinie mu się noga. Przykrość ogromna. Remis z byłymi mistrzami świata i Europy odroczył karę chłosty i nieeleganckie „pożegnanie z Janasem”, co najmniej do wiosny 2005!

Do plejady zblazowanych krytyków dołączył również były reprezentant Polski Piotr Świerczewski. Od dawna wiedziałem, że to „enfant terrible” naszego piłkarstwa, ale to czym uraczył czytelników „Przeglądu Sportowego” po sukcesach „biało-czerwonych” jesienią 2004, wydało mi się krańcowo niegrzeczne, błędne i niesprawiedliwe. ... *„Po dwóch latach – powiedział – w polskiej drużynie znowu główne role odgrywają piłkarze z kadry Jerzego Engela: Kałużny, Rząsa, Kłos, Bąk, Hajto. To trzon zespołu. Dlatego nie wiem, czy selekcjonerem rzeczywiście jest Janas, czy może jednak ciągle Engel!”*... Janas, na pewno Janas, kolego, bo w kadrze nie ma już Świerczewskiego, Kryształowicza i Hajty – ulubieńców Engela, a pozycja Rząsy i Kłosa też wydaje się być niepewna.

W reprezentacji nie gra się za zasługi, o tym decydują przede wszystkim aktualne umiejętności, forma i... możliwości. A to już nie są mocne atuty trzydziestolatków, notabene przegranych z World Cup 2002 w Korei Południowej i Japonii. Oni nic nowego i jakościowo lepszego już nie wymyślą. Drużyna z jesieni 2004 roku też jeszcze nie była na miarę naszych marzeń i potrzeb reprezentacji na Weltmeisterschaft 2006. Kilku aktorów, nawet tak udanego meczu z Francją w Paryżu, też prochu już nie odkryje. Tam przed przerwą nasza obrona była „dziurawa”, a funkcje twórcze drugiej linii zbyt jałowe. Wnioski nasuwają się same – w tych formacjach potrzebne są retusze. Ufam, że wiosną 2005 Paweł Janas nie ulegnie „podpowiadaczom”, którzy po długich miesiącach zaciśnięcia pętli na jego szyi, zaczęli nagle sugerować, żeby zamknął listę kandydatów do reprezentacji.

Hola, panowie! Tworzenie reprezentacji jest procesem trwałym. To nie jest jakaś rzecz zamknięta sama w sobie lub niedostępna enklawa. To jest żywy organizm, mający określone fazy rozwoju, a przy tym swoje wzloty i upadki. Jesień 2004 obfitowała głównie w wzloty. Na eliminacje to wystarczyło. Naszą ambicją jest teraz dobry występ w turnieju finałowym. Jest już dobrze, ale musi być jeszcze lepiej! Cieszyć się wypada, że takimi właśnie pobudkami kieruje się Paweł Janas. Credo selekcjonera jest jasne: „*Przed nikim jeszcze nie zamykam furtki do reprezentacji*”. To w sferze selekcji najbardziej różni obecnego selekcjonera od poprzedniego.

Nie ukrywałem w „**Sprawach reprezentacji**” publikowanych na łamach „Polskiej Piłki”, że dostrzegam luki na kilku ważnych pozycjach w zespole. Odradzałem jednak hołubienia mocno już wyeksploatowanych uczestników nieudanej wyprawy na World Cup 2002. Byłby to bowiem zachowawczy styl pracy, typowe zawracanie Wisły kijem. W roku 2004 mieliśmy już obiecujący trzon drużyny narodowej, jej podporami byli bramkarz Jerzy Dudek, środkowy obrońca Jacek Bąk, lewy pomocnik Jacek Krzynówek i napastnik Maciej Żurawski. Poziom zbliżony do mundialowego jesienią 2004 reprezentowali: Marcin Baszczyński, Kamil Kosowski, Mirosław Szymkowiak i Tomasz Frankowski. Podstawowym atutem każdego z nich jest niezłe wyszkolenie techniczne. To jeszcze nie cała drużyna! Ale na tym fundamencie łatwiej o wybór najwłaściwszego systemu gry i najsukuteczniejszej taktyki. O motorykę, odporność organizmów na wysiłek, a to od dość dawna jest naszą słabą stroną, muszą zadbać sami zawodnicy.

A jak tę udaną jesień 2004 i sposób gry reprezentacji ocenili w „Przeglądzie Sportowym” byli selekcjonerzy?

Antoni PIECHNICZEK: – „Wreszcie zaczęliśmy strzelać bramki i wygrywać mecze wyjazdowe. Nadal jednak szwankuje gra obronna”.

Wojciech ŁAZAREK: – „Cudowna metamorfoza! Z nicości powoli rodzi się coś wielkiego i obiecującego. Gdyby jeszcze lepiej grali obrońcy”...

Andrzej STREJLAU: – „Zaimponowała mi konsekwencja i dyscyplina taktyczna we wszystkich trzech meczach wyjazdowych. To był klucz do zwycięstwa”.

Henryk APOSTEL: – „Szkoda punktów straconych z Anglią w Chorzwie. Nawet przy remisie na Śląsku była szansa na liderowanie w grupie. Zawiedli niektórzy obrońcy”.

Janusz WÓJCIK: – „Podziwiam skuteczność drużyny tak w ataku, jak i w obronie, ale nie styl, jaki reprezentowała. Pod tym względem było ubogo, a zupełnie źle w drugiej linii. Rywale dominowali w środku pola”.

Jerzy ENGEL: – „Ucieszył mnie powrót do ustawienia 1+4+4+2. To dla „biało-czerwonych” najwłaściwszy i w praktyce najskuteczniejszy sposób gry. Niepotrzebnie tracono czas, próbując inne warianty”.

Można by zostawić te uwagi bez komentarza, ale korci człowieka do wyrażenia i w tej sprawie własnego zdania. Dziwić się przede wszystkim należy, że trener Jerzy Engel – między wierszami – ma za złe Pawłowi Janasowi, że tak długo (i niepotrzebnie?!) eksperymentował. A to przecież prawo i obowiązek każdego selekcjonera. Tylko w ten sposób, właśnie poprzez eksperymenty, doświadczenia dochodzi się do prawdy. Fakt, początkowo błędził, ale liczne próby, mniej lub bardziej udane, ostatecznie skierowały go na właściwą drogę. Nadal jest długa i kręta, ale znany jest już sposób, w jaki należy ją pokonywać. Tu w pełni zgadzam się z byłymi selekcjonerami: przede wszystkim trzeba doskonalić grę w obronie i drugiej linii! To zadanie numer jeden przed Weltmeisterschaft 2006. Czy w tym samym układzie personalnym? Potrzebny jest zastrzyk świeżej krwi!

Wnikliwego obserwatora naszej sceny piłkarskiej w roku 2004 niewątpliwie targały mieszane uczucia. Z jednej strony musiały cieszyć postępy czynione

przez reprezentację, w efekcie nadzieja na kolejny udział w finałach mistrzostw świata, ale z drugiej martwił niemal kompletny marazm szkoleniowy w relacji klubowej. Tu było nam (i jest nadal) znacznie dalej do Europy, niż z drużyną narodową na salony światowe. W krajowej lidze coraz wyraźniej odczuwa się brak pełnowartościowego zaplecza dla pierwszej reprezentacji. Uzdolnioną młodzież wypierają niskiej klasy obcokrajowcy. Janas z konieczności korzysta więc głównie z usług polskich piłkarzy występujących w ligach zagranicznych. Na dłuższą metę nie jest to najlepsze rozwiązanie. Pogoń klubów za miernotą zagraniczną hamuje reprezentacyjne funkcje naszej ligi. A to lada dzień może grozić kadrą pustką. Ubolewać należy, że taki „czarny scenariusz” najenergiczniej kreśli w Szczecinie Antoni Ptak.

W każdej reprezentacji winna być zachowana równowaga między starszymi i młodszymi zawodnikami. W naszej kadrze te proporcje są zachwiane, zaczynają przeważać zawodnicy trzydziestoletni. Wiem, same nazwiska i metryki urodzeń nie grają, ale jestem przekonany, że już teraz przydało by się drużynie narodowej kilku dwudziestolatków, takich na przykład jak: Władysław Żmuda, Zdzisław Kapka, Antoni Szymanowski lub Kazimierz Kmiecik w roku 1974, nie mówiąc już o nieco starszych ich partnerach Grzegorz Lacie i Andrzeju Szarmachu. Teraz rolę „młodych wilczków” mogliby spełniać Grzegorz Rasiak, Andrzej Niedzielan, Sebastian Mila lub Paweł Brożek, ale akurat w roku 2004 los nie zawsze im sprzyjał. Będziemy więc skazani li tylko na utrzymywanie w dobrej formie mocno już wyeksploatowanych trzydziestolatków?

To problem głównie dla selekcjonera. Kierownictwo PZPN akurat w roku swej pięćdziesięcioletniej przynależności do UEFA miało na głowie również sporo innych kłopotów. Wciąż nasilał się rozdźwięk między PZPN, a klubami ligowymi, zwłaszcza tych z drugiego frontu, nieustannie manipulującymi wokół

rozgrywek. Co jakiś czas, głównie w Jaworznie odgrzewano kulisy zeszłorocznego przekrętu w meczach barażowych Garbarni-Szczakowianki ze Świttem Nowy Dwór Mazowiecki. W rezultacie sprawa trafiła do Sądu Okręgowego w Warszawie, a skierował ją tam PZPN jako skargę na wyrok Trybunału Arbitrażowego PKOl. I tu kolejny pat. Potwierdził to w „Polskiej Piłce” dyrektor Departamentu Prawnego PZPN, Andrzej Wach:

... „Ani Sąd Okręgowy, ani Sąd Apelacyjny w Warszawie nie wypowiedziały się dotychczas co do jakiegokolwiek aspektu postępowania prowadzonego przez Trybunał Arbitrażowy PKOl, ani też wydanego przezeń wyroku... Niechęć sędziów cywilnych do merytorycznego rozpoznania przedmiotowej sprawy jest, mimo wszystko – zaskakująca i niezrozumiała... Z przyczyn niezależnych od stron postępowania arbitrażowego sprawa wróciła zatem w pewnym sensie do punktu wyjścia”.

A jaki będzie finał? Projekt nowelizacji artykułu 41 Ustawy o Kulturze Fizycznej z 20 lipca 2004 roku uwzględnia możliwość składania kasacji do Sądu Najwyższego. Na razie jest to melodia przyszłości. W tej sytuacji Zarząd PZPN podjął w dniu 28 czerwca 2004 roku decyzję o ponownym przeprowadzeniu przez Wydział Dyscypliny PZPN postępowania mającego na celu wyjaśnienia okoliczności, które na linii Jaworzno-Nowy Dwór doprowadziły do skandalu na skalę ogólnopolską. Przepychanki trwają, ale pojawiła się też nadzieja na ostateczne rozwiązanie tej pyskówki wyłącznie przez środowisko piłkarskie. Do sezonu 2005/2006 PZPN uprawnił do gry oba zwaśnione kluby. Echa sporu jednak nie ucichły.

PZPN zbiera też cięgi za fatalną postawę większości sędziów wszystkich klas, nie tylko ligowych. Rozjemcy piłkarscy nigdy nie mieli u nas dobrej prasy. Nawet w czasach Kazimierza Bukowskiego, Grzegorza Aleksandrowicza, Juliana Mytnika, Waława Majdana i dużo, dużo wcześniej byli krytykowani. Nie-

których nawet łżono, ale głównie ze względu na nie zawsze właściwe podjęcie decyzji czysto sportowych, natomiast bardzo rzadko z powodu skłonności do przekupstwa i moralnej rozwiązłości. Teraz gromy na sędziów spadają z różnych stron. U schyłku 2004 roku w dzienniku „Fakt”, specjalizującym się w wykrywaniu i opisywaniu skandali, dopatrzono się szczególnie nagannych zachowań kilku arbitrow.

W zamian za usługę seksualną obiecywali kandydatom płci odmiennej awans do sędziowskiej elity. To niewątpliwa nowość, bo niegdyś panie z panami na kursach sędziowskich nie bywały. Natomiast „seanse erotyczne” zdarzały się dość często, zwłaszcza wtedy, kiedy panowie byli już po „kilku głębszych”. Jeden z nich przekonywał wówczas towarzystwo, że „chłop po pijanemu nie ma ochoty tylko na szczotkę i jeża, ale... figurce Matki Boskiej już nie przepuści”... Znam też sędziów, którzy nawet tuż przed wyjściem na boisko nie „odpuszczali” znajomym panienkom. Nigdy jednak w nagrodę nie proponowali im wejścia do „sędziowskiej rodziny”. To był ich ten „mały intymny świat”. No cóż – czasy diametralnie się zmieniły. Niczego nie da się teraz ukryć, wścibska prasa wszystko opisze. Czy zawsze sprawiedliwie i we właściwej formie? Właśnie w „Polskiej Piłce” niemalże w przeddzień tych amoralnych wydarzeń opisanych w „Fakcie” przez Dariusza Łuszczynę, przewodniczący Centralnej Komisji Szkoleniowej i członek Zarządu Kolegium Sędziów PZPN Wiesław Karolak przestrzegwał „OSTROŻNIE Z KRYTYKĄ”.

...„Prasa sportowa bardzo krytycznie wypowiada się o pracy sędziów, a jeden czy dwa błędy urastają do rangi problemu iście narodowego. Są to efekty pogoni mediów za sensacją, za zwiększeniem nakładu gazety... Nie ma natomiast czasu i miejsca na spokojną, rzeczową analizę faktów czy też w ogóle na zrozumienie i tolerancję... Różnica, którą postrzegam, dotyczy poziomu organizacyj-

nego i technicznego polskich klubów i ich drużyn, kultury osobistej zawodników i atmosfery, w której przychodzi pracować naszym sędziom”.

I dalej: – „Sędziowie popełniali, popełniają i będą popełniać błędy w ocenie niektórych przewinień. Błąd sędziiego jest nierozłącznym elementem piłkarskiego widowiska. Niestety, w błędach bądź kontrowersyjnych decyzjach polskich rozjemców doszukuje się często rozmyślnego postępowania. Jest to opinia wielce krzywdząca... Wyrażam więc chyba nie tylko osobiste przekonanie, iż polscy sędziowie są szkoleni równie profesjonalni jak ich koledzy w innych krajach, a prezentowany przez nich poziom prowadzenia zawodów jest co najmniej na tym samym poziomie”...

Ze stroną czysto sportową tych wynurzeń pana Karolaka od biedy można by się zgodzić, bo rzeczywiście „błąd jest nierozłącznym elementem piłkarskiego widowiska”. Narzuca się jednak pytanie: – Jest spowodowany brakiem dostatecznej wiedzy i słabym refleksem arbitra czy świadomym jego działaniem, już wcześniej ukartowanym? I to złe i to niedobre. Gdyby jednak nie było tu żadnych wątpliwości, zapewne nikt z ludzi futbolu nie posądzałby sędziów o łapówkarstwo, skłonności do korupcji lub tylko złą wolę. Bo to przecież nie są i nie muszą być „nierozłączne elementy piłkarskiego widowiska”. To elementy przestępstwa! Na szczęście teraz coraz częściej wykrywane i karane. A co z seksem u sędziów i to w formie o jakiej doniosły „Fakty”? To już nie błąd. To moralne rozwydrzenie!

Po nieudanej próbie zaszczepienia naszej reprezentacji wariantu gry z jednym „diamentem” w napadzie, nie ustały jałowe dyskusje (tu i ówdzie nazywano to nawet „naukowymi rozprawami”) na temat systemu, jakim mogli by i powinni zaskoczyć piłkarski świat „biało-czerwoni”. Szkoda jednak, że te pseudo-teoryjki rodziły się głównie na redakcyjnych biurkach lub w rozpalonych głowach piłkarskich prominentów. Stąd sporo nieporozumień, rozczarowań, ubo-

lewań, że na boisku te pomysły się nie sprawdzają. Każdy system i każda taktyka wymaga odpowiednich wykonawców. Selekcjoner kadry narodowej ma w tej materii większe możliwości wyboru w porównaniu z trenerami klubowymi, ale i jemu dość często brakuje odpowiednich kandydatów. Paweł Janas nie jest pierwszym trenerem, któremu – właśnie z tego powodu – przyszło przegryźć nie jedną gorzką pigułkę.

Mija właśnie pół wieku od chwili, kiedy polscy szkoleniowcy, tak na serio podjęli trudne zadanie nadania naszemu futbolowi wizerunku zbliżonego do standardów europejskich. Zadanie to było wyjątkowo trudne, bo – goniąc utracony czas – zdawali sobie sprawę, że wszelkie kanony piłkarskie, owe systemy gry i taktyka nie są tworamami trwałymi, dość często się zmieniają. To, co w danym momencie uważane jest za nowe w futbolu, z upływem czasu staje się wsteczne, a więc nie postępowe. Nasi trenerzy – pionierzy robili więc wszystko co było w ich mocy, aby nie pozostawać w tyle za powszechnie obowiązującymi wzorcami i szkoleniowymi trendami. Starano się przy tym zachować narodową tożsamość i od czasu do czasu stworzyć nawet co nowego, własnego. Historia mistrzostw świata i Europy daje na to moc przekonujących przykładów.

Poszukiwanie nowych rozwiązań w grze piłkarskiej może się wielu ludziom nie podobać, ale tych, którzy do zmian zmierzają, odważnie eksperymentują, nie trzeba skazywać na banicję, wyrywać im paznokci lub stawiać pod szubienicę. Wytykając światłym trenerom błędy, trzeba jednocześnie rozumieć ich intencje i uszanować prawo do poszukiwania nowych rozwiązań. Kłopot jednak w tym, że po stokroć mądrzejsi od trenerów usiłują być w naszych klubach ich właściciele, sponsorzy, prezesi, przeróżnej maści dyrektorzy i członkowie rad nadzorczych. Oni dają kasę, oni więc o wszystkim decydują. Sponsorów z puli społecznej ledwo widać. Samorządy lokalne głosy do-

magające się wsparcia zbywają brakiem pieniędzy lub niezyciowymi przepisami. Koło się zamyka. Autorytet szkoleniowców w tej nowej sytuacji wyraźnie podupadł. Stają się bezradni, na względy najczęściej chwilowe mogą liczyć tylko ci potulni jak baranki. Właściciel klubu bywa obrazem, przed którym się modlą. Który z trenerów teraz, tak jak niegdyś Mieczysław Gracz, potrafiłby stanąć w oko w oko przed szefem przedsiębiorstwa i powiedzieć mu kilka słów prawdy?

– Avia nie grała tak, jak życzyłby sobie dyrektor WSK Świdnik – przed laty zwierzył mi się „Messu”. – Chodził na mecze rzadziej, niż ja do kościoła, ale po którymś z mniej udanych spotkań swojego drugoligowca, zganił mnie za słabą skuteczność napastników.

– Skrzydłowi powinni grać inaczej! Muszą strzelać. – zawyrokował. – A obrońcy za bardzo pchają się do przodu. Tracimy za dużo bramek. Niech pan coś z tym zrobi, trenerze... Tak dalej być nie może!...

– Swój zawód znałem dość dobrze – kontynuował Gracz – ale o budowie śmigłowców nie miałem pojęcia. Z ciekawości i chęci dogryzienia prezesowi wybrałem się więc zaraz po tej rozmowie do hali produkcyjnej. Jest prezes. Panie dyrektorze! Dyrektorze! – krzyczę z daleka. – Tu skrzydła kręcą się nie w tę stronę, jedno jest mocno skancerowane, a tam jakieś kłopoty z podwoziem. Niech pan dyrektor spojrzy. Ktoś tu wypuścił niezły bubel... To grozi katastrofą!...

– Spokojnie trenerze, spokojnie... Nie ma strachu w naszym fachu. Wszystko w porządku! Mam tu dobrą ekipę. Nasze śmigłowce cenią zagranicą. A pan się na tym po prostu nie zna...

– No właśnie!... To święta prawda dyrektorze! Pan tu jest mistrzem... Widzę jednak, że równie dobrze zna się na piłce nożnej. Ostatnio tak pewnie mnie pan pouczał... Gdzie kończył pan akademię – w Warszawie czy w Krakowie?

Za tę odwagę Gracz słono zapłacił, dyrektor – prezes rychło zatrudnił innego trenera. „Messu” odniósł jednak moralne zwycięstwo. „Avii” opadły po tym wydarzeniu oba skrzydła i... wylądowała w trzeciej lidze. Obecna zależność trenera od szefa klubu i tak często związane z tym przykre następstwa, nie są więc w naszym futbolu nowością. Mają już długą i trwałą tradycję. Pozmieniali się tylko decydenci. Niegdyś dyrektorzy przedsiębiorstw i ich polityczni nadzorcy sądzili, że pozjadali wszystkie rozumy, dziś ich role równie skutecznie przejmują właściciele klubów lub wynajęci przez nich prezesi. Trener jest najczęściej li tylko posłusznym wykonawcą ich nie zawsze zdrowych pomysłów. Szkoleniowcy, niegdyś czołowe osobistości w klubie, teraz coraz wyraźniej stają się wyłącznie dodatkiem do ludzi z... kasą.

Wypada współczuć jednym i drugim. W tej niezdrowej sytuacji znaczna część trenerów zaczyna tracić nerwy, jest zagubiona, niepewna swego losu, coraz bardziej podatna na stresy i frustracje. W efekcie uległość wobec pracodawców rodzi proste błędy merytoryczne. Tylko absolutnie pewni swej wiedzy fachowej, jak Orest Lenczyk, bywa, że i niezależni przy tym finansowo, jak na przykład Henryk Kasperczak w Wiśle Kraków, potrafią zachować odpowiedni dystans wobec zwierzchników i postawę godną szkoleniowca. Mniej odporni psychicznie i nieco słabsi przy warsztacie łatwo godzą się z losem i nieprzychylnymi im decyzjami klubowych prominentów. Ale są i tacy, którzy – chcąc się bosom przypodobać – publicznie wygłaszają opinie, które podważają ich szkoleniową wiarygodność. Niekiedy li tylko na pokaz lub dla zamydlenia oczu wymyślają „nowoczesne” systemy i „superskuteczną” taktykę gry. Słabo w tej materii zorientowani przełożeni „kupują” to w ciemno. W klubie niby wszystko wtedy gra, tylko wyników nie ma.

Przerażają pomeczowe wypowiedzi niektórych trenerów. Trudno wtedy pojąć, co się za tym kryje. Własne spojrzenie na zaistniałe wydarzenia czy pre-

zентация poglądów chlebobawców. Oni z reguły nie mają czasu i cierpliwości na systematyczną pracę. Chcą sukcesów natychmiast! Trenerzy, nawet ci z „nazwiskami” chętnie to obiecują i... „idą na skróty”. Stawiają na doraźny wynik, a nie systematyczną pracę o wzrost poziomu drużyny. Sztampa i tylko sztampa płynie z ust wielu współczesnych szkoleniowców.

– ... Taktyka?... Wystarczy dobrze się bronić i kontratakować! – to dewiza niemal powszechna.

– ... Wisła w gościach skutecznie stosuje kontratak, natomiast u siebie jest zmuszona do ataku pozycyjnego – powtarzają oklepane prawdy nawet w Krakowie.

– ... Stosujemy taktykę defensywną, bo gra z kontry przyniosła nam już sporo punktów – chwalą się w Grodzisku Wielkopolskim.

– ... Stawiamy na destrukcję. Lepsze to, niż pięknie przegrywać – przekonują w Polonii Warszawa.

– ... Mamy kłopoty z atakiem pozycyjnym – ubolewają w Lubinie.

Nikt jednak nie mówi wprost, jakie są tego przyczyny. Brak pomysłu na racjonalne szkolenie. Smutne to, że wracamy do sposobu gry z lat pięćdziesiątych i nikt nie ma odwagi powiedzieć „dość”. Niegdyś Ryszard Koncewicz przestrzegał: – „**Murowaniem bramki nie poprawimy poziomu gry**”. Teraz zachęca się do jałowej gry w głębi boiska: – „*Zagęściliśmy środek pola, bo tak dziś gra się w całej Europie*”. Powoływanie się na europejskie wzory, w dodatku źle realizowane, to słabe alibi. U nas poza Wisłą Kraków Henryka Kasperczaka (i to nie we wszystkich meczach) i Legię pod ręką Dariusza Kubickiego większość pozostałych drużyn stawia na obronę własnej bramki i szczęście w najprostszej formie kontrataku. Kopnij i biegnij! To prymitywna taktyka przekreślająca nasze osiągnięcia szkoleniowe głównie z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Atak pozycyjny nie jest łatwy w realizacji, największe kłopoty mają z nim zespoły słabo wyszkolone technicznie. Taka forma akcji ofensywnych wymaga od zawodników nie tylko odpowiednich cech motorycznych, lecz także dużego wysiłku intelektualnego. Dopiero to ukazuje właściwe oblicze współczesnego futbolu. W Europie dobre kopanie piłki z pracą umysłu po mistrzowsku łączą głównie Francuzi, Holendrzy i Szwedzi. U nas przez kilka lat dobrze to robiła „niepowtarzalna” ekipa Kazimierza Górskiego. Obecnie wolimy rozwiązanie znacznie łatwiejsze, bez głębszej myśli, niekiedy wręcz prostackie. Na własny, wewnętrzny użytek bywa to skuteczne, ale w rywalizacji międzynarodowej jest bliskie zeru i coraz bardziej nas ośmiesza. Nie łatwo było by znaleźć dziś w Europie reprezentacje słabsze od nas technicznie; o drużynach klubowych pisać nawet nie wypada. Przedszkole. Już w wieku juniora dominuje siła i szablon taktyczny.

Maszerowanie drogą na skrót weszło nam w krew i trudno to zburzyć. Nawet w PZPN-ie pion szkolenia jest dla niektórych piątym kołem u wozu. Bagatelizowanie wiedzy, fachowości, otaczanie się ludźmi z najbliższego otoczenia bądź dominującej opcji politycznej, to zmora współczesnego życia społecznego i gospodarczego. Sport nie ustrzegł się tych globalnych zjawisk. Tu również wdarły się złe nawyki, a w futbolu – sportu numer jeden na świecie – są najbardziej dostrzegalne i najostrzej wytykane. Chęć szybkiego osiągnięcia celu jest w piłkarstwie wyjątkowo duża, natomiast wola mozolnej pracy znacznie mniejsza. W klubach chętniej skupują zagraniczny złom, niż budują własne zaplecze. To jest dość istotne podłoże, na którym wyrastają niemal wszystkie rozczarowania. Dziwaczne, szkoleniowo ubożuchne rozwiązania taktyczne cofają nas w tej materii do epoki „radosnej twórczości”. Systemom gry, które już od lat były znane, jesteśmy skłonni przypisywać cechy nowocześnieści.

Dokładnie przed pół wiekiem dr Stanisław Mielech dość precyzyjnie zdefiniował takie pojęcia typowe dla futbolu jak: szkoły, style, systemy i taktyka gry. Na kilku kolejnych unifikacjach nauczania piłki nożnej twórczo rozwijali te wartości polscy trenerzy. Z ich prac korzystali nawet fachowcy zagraniczni, a popularyzatorami naszej myśli szkoleniowej na sympozjach o zasięgu europejskim byli głównie Ryszard Koncewicz, Jerzy Talaga i Antoni Piechniczek. Największe zainteresowanie poza granicami kraju wzbudziły rezultaty unifikacji zorganizowanej w roku 1982 w Jachrance pod Warszawą. Tylko u nas zdobycze tej naraady nie osiągnęły zamierzonego celu. Tam jasno i jednoznacznie mówiono, że technika to coś więcej, niż umiejętność przyjęcia, prowadzenia i podania piłki, to przede wszystkim drybling, zwód i strzał. Te trzy czynniki w stopniu największym decydujące o skuteczności w grze ofensywnej, są u nas najbardziej zaniedbane. Dlatego nasi zawodnicy są tak nieporadni w akcjach „jeden na jednego”.

EWOLUCJA SYSTEMÓW GRY

Istotny wpływ na rozwój futbolu, jego kształt i sposób poruszania się zawodników na boisku ma niewątpliwie system, inaczej mówiąc wyjściowe ustawienie drużyny na boisku i związane z tym zadania dla poszczególnych zawodników. To jeden z tych kanonów nowożytnego piłkarstwa, które najwyraźniej obrazują jego ewolucję. Zaczęło się od prymitywnego „kick and rush” (kopnij i biegnij), w którym praktycznie wszyscy zaciekle atakowali, a jedynym zawodnikiem broniącym i przypisanym do stałej pozycji był bramkarz. Nie było w tym żadnej myśli przewodniej, tylko chaos i stadne parcie do przodu. Ale już u schyłku XIX wieku zaczął się kształtować „system klasyczny”. Tworzyły go trzy odrębne formacje: bramkarz i dwóch obrońców, trzech pomocników i pięciu napastników (1+2+3+5).

W tym ustawieniu obrońcy utrudniali grę głównie łącznikom drużyny przeciwnej, środkowy pomocnik środkowemu napastnikowi, a boczni pomocnicy – skrzydłowym. Po zmianie przepisu o spalonym (1925) grę klasyczną zaczął wypierać system „trzech obrońców” zwany w skrócie WM. Do Polski trafił z dużym opóźnieniem. Jeszcze w latach trzydziestych (i później) praktycznie wszystkie nasze drużyny klubowe i reprezentacja wierne były ustawieniu 1+2+3+5 i lepiej się w nim czuły. W przededniu wybuchu drugiej wojny światowej „biało-czerwoni” potwierdzili to w zwycięskim meczu (4:2) z reprezentacją Węgier, wicemistrzem świata z 1938 roku.

W Europie i na świecie już od dość dawna z powodzeniem grano jednak systemem „trzech obrońców”. Z takim sposobem gry Polacy po raz pierwszy spotkali się w roku 1936 na Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie, w meczu z Norwegami, którego stawką był brązowy medal. Rywale całkowicie zaskoczyli nas tym nowatorskim sposobem gry, inną – nieznaną dotychczas rolą poszczególnych zawodników na boisku. Długo byliśmy bezradni i ostatecznie zaprzepaściliśmy szansę na zwycięstwo. Tuż przed wojną Niemiec Kurt Otto i Anglik James Alex próbowali zaszczepić na polskich boiskach podstawowe wartości systemu „trzech obrońców”, ale długie lata niewoli nie pozwoliły na jego rozpowszechnianie. Pierwsi po 1945 roku mistrzowie Polski Polonia Warszawa, Warta Poznań i Cracovia grały więc w ustawieniu 1+2+3+5. Także reprezentacja w pierwszych po wojnie meczach międzypaństwowych tkwiła w tym już mocno przestarzałym sposobie gry. Próba przejścia na system „trzech obrońców” i „magiczny kwadrat” 1+3+(2+2)+3 w meczu z Danią w Kopenhadze w 1948 roku zakończyła się katastrofą, przegraliśmy 0:8.

Zanim jednak Waclaw Kuchar podjął w Kopenhadze próbę przejścia z „systemu klasycznego” na „trzech obrońców” i doznał tam wraz z drużyną totalnego niepowodzenia, niejako na pożegnanie ustawienia 1+2+3+5 triumfował w War-

szawie w spotkaniu z Czechosłowacją. Wygraną 3:1, pierwszą po wojnie z tak dobrą drużyną (niespełna rok wcześniej w Pradze było 6:3 dla rywali), słusznie porównywano do przedwojennego zwycięstwa 4:2 nad Węgrami. Trzon zespołu w meczu z Czechami tworzyli piłkarze ze Śląska i Krakowa: odważny bramkarz Antoni Janik z Pogoni Katowice i bramkostrzelny Gerard Cieślik z Ruchu Chorzów oraz wytypowani niedawno przez Henryka Reymana do reprezentacji Europy środkowy pomocnik Tadeusz Parpan z Cracovii i prawy łącznik Mieczysław Gracz z Wisły. Dobrze zagrał cały zespół, ale było wówczas jeszcze kilku zawodników o równie wysokich umiejętnościach: bramkarz Jerzy Jurowicz z Wisły, prawy obrońca Władysław Gędłek z Cracovii i pomocnik Czesław Suszczyk z Ruchu. W schyłkowym okresie ustawienia 1+2+3+5 najlepiej prezentowała się drużyna w składzie:

Antoni Janik (Pogoń Katowice) – **Henryk Janduda** (AKS Chorzów), **Antoni Barwiński** (Tarnovia) – **Tadeusz Waśko** (Legia), **Tadeusz Parpan** (Cracovia), **Gerard Gajdzik** (AKS Chorzów) – **Henryk Alszer** (Ruch), **Mieczysław Gracz** (Wisła), **Józef Kohut** (Wisła), **Gerard Cieślik** (Ruch), **Zdzisław Mordarski** (Wisła). W tym klasycznym ustawieniu również dobrze sobie radzili: Henryk Skromny (Legia), Edward Brzozowski (Polonia Warszawa), Mieczysław Szczurek (Wisła), Henryk Bobula (Cracovia), Maksymilian Barański (AKS Chorzów), Henryk Spodzieja (AKS Chorzów), a także przedwojenni reprezentanci Władysław Szczepaniak (Polonia Warszawa) i Stanisław Baran (ŁKS Łódź).

W Europie i na świecie bezapelacyjnie królował jednak system „trzech obrońców”. Teoretycy i praktycy futbolu już w roku 1925, zaraz po zmianie przepisu o spalonym uznali, że wciąż „pada za dużo bramek”. Można z tym dyskutować, bo istotą gry w piłkę nożną jest właśnie zdobywanie goli, przeto myślę, że „reformatorom systemów” szło tu nie tylko o większe bezpieczeństwo pod wła-

sną bramką, lecz głównie o zachowanie równowagi w działaniach atakujących i obronnych. Największym orędownikiem tych idei był dyrektor londyńskiego Arsenalu, Herbert Chapman, słusznie przez historyków futbolu uważany za twórcę systemu „trzech obrońców”.

Co się zmieniło w porównaniu z grą klasyczną? W napadzie nowości było niewiele, nadal w przodzie dwaj skrzydłowi i środkowy napastnik, a tuż za nimi nieco cofnięci łącznicy. Istotne zmiany nastąpiły natomiast w obronie i pomocy. Do tradycyjnej pary bocznych obrońców do centrum tej formacji wycofano środkowego pomocnika. Teraz ten tercet defensywny wraz z parą pomocników przypominał w swoim układzie na boisku literę M, zaś kwintet ofensywny literę W. Stąd też grę z trzema obrońcami nazywano potocznie, ale jakże obrazowo – systemem WM. Nie koniec na tym, do rangi „mózgu” drużyny podniesiono parę łączników i duet pomocników, błyskotliwie określając ich rolę w zespole jako „magicznego kwadratu”. Wyjściowe ustawienie graczy na boisku w systemie WM wiernie oddaje schemat liczbowy $1+3+(2+2)+3$.

Spójrzmy uważnie na to ustawienie. Czy nie przypomina ono lansowanego już w naszych czasach systemu $1+3+4+3$? Siłę zespołu stanowi tu czteroosobowa druga linia, nadal zwana pomocą. A wtedy? Zawsze była i jest to formacja, od której wymaga się największej wszechstronności i... pracowitości. Z jednej strony przemyślanej konstrukcji akcji ofensywnych, a z drugiej – skutecznej już w środku pola gry obronnej. Głównie w latach trzydziestych, kiedy system „trzech obrońców” był w futbolu powszechnie stosowaną nowością, a „magiczny kwadrat” (czworobok) osią drużyny, twierdzono, że „**wraz z nim system wznosi się lub upada**”. Jak to powinni rozumieć współcześni? Jeśli druga linia ma w sobie więcej cech ofensywnych, to wzbogaca piękno futbolu, natomiast – gdy przeważają w niej elementy destrukcji – owa siła systemu rzeczy-

wiście staje się uboższa. Przypomina często jałową „sztukę dla sztuki”, w efekcie futbol bez goli.

Czterooosobowe linie pomocy, a niegdyś „magiczny kwadrat”, są dużą szansą dla zawodników dobrze wyszkolonych, wszechstronnych, bez kłopotów radzących sobie pod obiema bramkami. Tak właśnie grano już grubo przed pół wiekiem, wzdłuż i w szerz boiska, od jednego pola karnego do drugiego. W systemie „trzech obrońców” parę rozgrywających tworzyli głównie dwaj łącznicy, a wspierali własnych obrońców – obaj pomocnicy. Przypomina to dzisiejszy podział na pomocników ofensywnych i defensywnych. Na pozór nie wymyślono więc nic nowego, jak powiedziałby rabin Ben Akiba – „wszystko już było”, także wciąż modne pojęcie taktyczne „pomocnik przed atakiem”. Tak czy inaczej dobry zawodnik drugiej linii musi umieć grać i w obronie i ataku!

W systemie klasycznym środkowy napastnik był kluczową postacią w drużynie, przypisywano mu obok egzekutora rolę kierowniczą w napadzie. W ustawieniu 1+3+(2+2)+3 „center ataku” miał przede wszystkim strzelać bramki, a skrzydłowi przygotowywać mu dogodne pozycje strzeleckie lub „ścinać rogi”, czyli też wdzierać się na pole karne i samemu zdobywać gole. To niby takie staroświeckie, że aż wierzyć się nie chce, iż w XXI wieku graczom ofensywnym zaleca się podobne zadania. I, o zgrozo, nazywa to taktyczną nowością! W grze obronnej dyscyplinę zaostrzono też już przed pół wiekiem. Pojawienie się „techniki szybkiej”, na jeden kontakt, wymagało stałego doskonalenia umiejętności. Na tradycyjne „kopnij i biegnij” praktycznie nie było już żadnych szans. Futbol stawał się coraz bardziej „wyrozumowany”.

System „trzech obrońców” w większości krajów utrzymał się niemal do końca lat pięćdziesiątych. Starano się go ulepszać, doskonalić, wymyślano różne warianty, jedne bardziej ofensywne z pomocnikiem przed atakiem, inne bardziej defensywne z forstoperem przed trójką obrońców. Przeważa-

ły jednak opinie, że tak rozumiane ustawienie 1+3+(2+2)+3 jest zbyt zachowawcze, defensywne i... zabija podstawowe idee piłki nożnej. Sprzyja „murowaniu” bramki. W Polsce tę właśnie możliwość najdłużej i najskuteczniej wykorzystywano w Lechii Gdańsk i Lechu Poznań, gdy ze słynnego tercetu A – B – C ostał się tylko Teodor Anioła. Lechia niemal zawsze odczuwała brak odpowiedniej siły ognia. Natomiast z reguły futbol odważny, ofensywny prezentowały Górnik Zabrze, Legia Warszawa, Polonia Bytom, Ruch Chorzów i częściowo ŁKS Łódź. Swoistą mieszankę systemu klasycznego i „trzech obrońców” w okresie swej powojennej prosperity dość udanie wykorzystywała Wisła Kraków.

Piłkarski świat wyczuwał potrzebę zmiany utrzymującego się ponad 30 lat systemu WM. Rzeczywiście przestał być atrakcyjny. W Europie już w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych Węgrzy jako pierwsi postawili na wzmocnienie siły ataku. W efekcie stali się twórcami przejściowego systemu „trzech w obronie i czterech w ataku”. Tę wysuniętą czwórkę napastników tworzyli najczęściej: Budai, Kocsis, Puskas i Czibor, natomiast nieco poza nimi (w głębi boiska) operował główny strateg – Hidegkutti, tworząc wraz z Bozsikiem i Zakariasem de facto trzyosobową drugą linię.

W Polsce, oczywiście za sprawą Węgra Janosa Steinera, tak w tym samym czasie grała Legia Warszawa. Nieco później ten wariant systemu „trzech obrońców” w kilku meczach zastosowała również nasza reprezentacja. Jednak nadal najczęściej preferowano ustawienie 1+3+(2+2)+3. Na uwagę zasługuje pomysł Tadeusza Forysia w zwycięskim w roku 1957 meczu z ZSRR w Chorzowie. Też grano tam czwórką w napadzie: Brychczy, Kempny, Cieślik, Lentner, ale nie środkowy napastnik, lecz nominalny prawoskrzydłowy Edward Jankowski spełniał funkcję trzeciego pomocnika. Wspierał głównie hasającego po prawej flance „Kiciego”. Była to wtedy jeszcze nieśmiała, ale już skuteczna forma gry z fałszywym

skrzydłowym”. Nigdy nie zapomnę tego fascynującego meczu z „ruskimi”. Ten właśnie i kilka równie udanych utwierdziło mnie w przekonaniu, że największą klasę w systemie „trzech obrońców” reprezentowała jedenastka w składzie:

Edward Szymkowiak (Polonia Bytom) – **Stefan Floreński** (Górnik Zabrze), **Roman Korynt** (Lechia Gdańsk), **Jerzy Woźniak** (Legia) – **Marceli Strzykowski** (Legia), **Edmund Zientara** (Legia) – **Ernest Pohl** (Górnik Zabrze), **Lucjan Brychczy** (Legia), **Teodor Anioła** (Lech Poznań), **Gerard Cieślik** (Ruch Chorzów), **Krzysztof Baszkiewicz** (Gwardia Warszawa).

W reprezentacji znacznie częściej od Anioły i Baszkiewicza występowali: Henryk Kempny, Stanisław Hachorek i Roman Lentner, ale za poznańskim „bombardierem z Dębca” przemawiają głównie niecodzienne osiągnięcia strzeleckie w lidze, a za „Baśką” doskonały występ (i gol) w remisowym meczu z RFN w Hamburgu oraz świetna postawa w spotkaniach z ZSRR w Moskwie i Lipsku. Na tle lekkiej kawalerii prezentowanej głównie przez Brychczego i Cieślika były to dwa trudne do zatrzymania piłkarskie czołgi. Silną w tej jedenastce pozycję Baszkiewicza umacnia jeszcze brawurowa gra podczas tournée Gwardii Warszawa w Wielkiej Brytanii w roku 1957, a także bramka zdobyta trzy lata później w zwycięskim (3:2) pojedynku ze Szkocją na Hampden Park w Glasgow. Mocne punkty reprezentacji w systemie „trzech obrońców” stanowili również prawy obrońca Henryk „Burza” Szczepański i pomocnik Ginter Gawlik oraz Tomasz Stefaniszyn, Edward Jankowski, Leszek Jezierski i Kazimierz Trampisz.

W roku 1958 podczas mistrzostw świata w Szwecji narodziła się klasyczna „brasiliana”, to znaczy ta w ustawieniu 1+4+2+4. Ten schemat, niemal idealnie zapewniający równowagę w obronie i ataku, a przez Brazylię realizowany perfekcyjnie, dał jej pierwszy tytuł mistrza świata.